

## ROZDZIAŁ I



Rok 1890

Gdy po Warszawie zaczęły rozchodzić się wieści, jakoby mecenas Więckowski zamierzał wydać swoją najmłodszą córkę za owdowiałego zięcia, Andrzeja Celiowskiego, towarzystwo początkowo nie dało temu wiary. Wydawało się to tak nieprawdopodobne, że pierwotnie uznano to za żart lub prymitywną plotkę, której nie warto było rozpowszechniać. Zresztą nawet w formie plotki informację tę zakwalifikowano jako niesmaczną. Wprawdzie okres formalnej żałoby dawno się już skończył i nikt, nawet najbardziej prostoduszny, człowiek nie podejrzewał, aby wdowiec w dalszym ciągu rozpaczał po stracie żony – a byli tacy, którzy ową rozpacz od początku podawali w wątpliwość – niemniej skandaliczny tryb życia Andrzeja Celiowskiego absolutnie nie pasował do tego, by miał się on ponownie przedzierżgnąć w statecznego męża i ojca rodziny. Nie prowadził pustelniczego trybu życia, nie zamknął się przed ludźmi. Wkrótce po pogrzebie pierwszej żony wyjechał do Francji i przez rok niewiele było wiadomo na jego temat.

Mecenas Więckowski nie wypowiadał się w sprawie zięcia, stanowczo ucinając wszelkie próby towarzyskich dywagacji. Celiowski nie miał żadnych bliskich krewnych oprócz kuzynki, ale i ona milczała. Nie mieszkała zresztą na stałe w Warszawie,

przyjeżdżała tu najrzadziej, jak tylko mogła, i co rychlej wracała do swojego odosobnionego majątku w Wieliszewie. Ona zapewne mogłaby powiedzieć najwięcej na temat swojego ciotecznego brata – gdyby rzecz jasna miała na to ochotę – tym bardziej że na czas nieobecności pan Andrzej powierzył jej opiece troje swoich, osieroconych przez matkę, dzieci.

Po roku wrócił i na pewien czas zaszył się w rodzowym majątku, w Jodłowie. Porządkował zaległe sprawy, załatwiał interesy, nikomu z sąsiadów i dawnych znajomych nie zwierzał się z powodów i szczegółów tak długiej nieobecności. Jak powszechnie przypuszczano, nie widział też potrzeby, by cokolwiek tłumaczyć dawnemu teściowi, a tym bardziej szwagierkom, o dalszych krewnych nie wspominając. Następnie zaś zaczął się oddawać z zapałem życiu towarzyskiemu. Jakby tego było mało, odgrodził się od dawnych znajomych i przyjaciół, a otaczali go teraz jacyś nowi, czyli – w powszechnej opinii – mocno podejrzani ludzie, którzy ponoć żerowali na jego majątku. Biorąc pod uwagę powyższe okoliczności, także i temu majątkowi nie wrócono świetlanej przyszłości. Jak więc to możliwe, by nagle, ni z tego, ni z owego planował kolejne małżeństwo? Przecież było to pozbawione jakiegokolwiek sensu. A z drugiej strony – która rodzina zechciałaby wiązać z nim swoją przyszłość? I wreszcie – dlaczego po raz drugi miałby podjąć taką decyzję mecenas Więckowski?

– Przecież to tak, jakby oddać własne dziecko lwu na pożarcie – oburzała się radczyni Czarnowska. – Nie znam nikogo, kto mógłby w taki sposób chcieć skrzywdzić rodzone dziecko.

– O mecenasie Więckowskim różnie powiadają – dodała przyciszonym głosem pani Nadratowska. – A Jodłowo to nadal piękny majątek i wydaje się mieć niewyczerpane zasoby, mimo wszystko.

– I co z tego?

– Jak to: co?! Możliwe, że Celiowski, przy swoim trybie życia, w końcu przeholuje i przeniesie się na tamten świat. Moim zdaniem fakt, że ten człowiek jeszcze żyje, zakrawa na cud. Wiele wskazuje na to, że to raczej jego majątek go przeżyje, a nie na odwrót. Może tak się zdarzyć, że niedługo po ślubie mała Ewunia zostanie zamożną wdową. Nie zdziwiłabym się, gdyby stary Więckowski właśnie na to czekał.

– O ile to Celiowski najpierw nie wpędzi do grobu swojej młodej żony. Na litość boską! Toż to jeszcze dziecko! Ta dziewczyna dopiero co skończyła osiemnaście lat!

– Cóż to takiego osiemnaście lat? – Pani Anastazja Borecka wzruszyła ramionami. – Byłam młodsza, gdy rodzice zaaranżowali moje małżeństwo.

– Ale...

Panie umilkły. Niezręcznie im było rozmawiać na ten temat w towarzystwie pani Boreckiej, skoligaconej z mecenasem Więckowskim. Wprawdzie kilka razy dała jasno do zrozumienia, że nie przepada za tym człowiekiem, jednakże panie czuły pewien dyskomfort, poruszając w jej obecności kwestie z nim związane. Tym razem jednak pani Anastazja była w najwyższym stopniu oburzona.

– Nie pochwalam decyzji Władysława. Wiem, że nie kieruje nim troska o dobro Ewy. Nigdy nie kochał tego dziecka. Zresztą Bóg raczy wiedzieć, czy kochał kogokolwiek. Moja zmarła kuzynka, świeć Panie nad jej duszą, zaznała wielu upokorzeń jako jego żona.

– Nie sprawiała takiego wrażenia. Wyglądała na zadowoloną z życia i małżeństwa. Czyżby skarżyła się kiedykolwiek? – spytała pozornie obojętnym tonem pani Nadratowska.

Pytanie było podstępne. Pomiedzy paniami z towarzystwa od dawna krążyło podejrzenie, że złudnie układny i pełen galanterii wobec kobiet mecenas Więckowski, w tak zwanym domowym

wydaniu, wobec własnej rodziny ukazywał całkiem odmienne oblicze. Były to jednak tylko domysły opierające się na kobiecej intuicji. Nikt nie miał na to żadnych dowodów, bo zmarła pani Więckowska nigdy nie powiedziała złego słowa o mężu. Tej samej zasady trzymały się też córki, a ze służbą, rzecz jasna, nikt o tym nie rozmawiał. To znaczy nikt z towarzystwa. Służący, a zwłaszcza służące pracujące w różnych warszawskich domach kontaktowały się ze sobą i szczerze mówiąc, to właśnie one były źródłem niektórych przecieków. Nie wypadało jednak powoływać się na takie głosy. Poniekąd było to nawet niebezpieczne, jako że zachęcić by mogło pracowników do wynoszenia różnych informacji i sekretów także i z innych domów.

Jednak słowa pani Boreckiej miały zupełnie inną wagę. Była, jak do tej pory, jedyną osobą z rodzinnego kręgu mecenasa, która wyraziła się o nim tak otwarcie krytycznie. Rozmawiające panie niemal rozsadała ciekawość, czy pani Anastazja powie coś więcej. Należało ją do tego nakłonić umiejętnie zadawanymi pytaniami, które pozornie zabrzmiały obojętnie. Jak się okazało, pani Boreckiej nie trzeba było podstępem prowokować do zwierzeń. Nigdy nie przepadała za mecenasem, a jedynie względy przyzwoitości skłaniały ją do tej pory do milczenia. Nie wywlekało się rodzinnych brudów nawet w rozmowie z wieloletnimi bliskimi znajomymi. Takie miała zasady. Należały już jednak do przeszłości. Postępek szwagra doprowadził ją do takiego rozgoryczenia, że postanowiła raz na zawsze przestać oszczędzać mężczyznę.

– Moja kuzynka nie musiała się skarżyć – odparła ponuro, nawiązując do pytania Nadratowskiej. – Wystarczyło na nią popatrzeć czy choćby odwiedzić ich dom. Nie udawajcie, że niczego nie zauważyłyście. Pelagia śmiertelnie bała się męża, pomimo że nigdy jej nie uderzył ani nie zwyzywał. Taką przynajmniej mam nadzieję. Jednak odebrał jej własną wolę, bez jego zgody

nie wypowiedziała pięciu słów. Musiała potulnie wypełniać jego polecenia. Nie miała najmniejszego prawa do sprzeciwu. Czasem miałam jej za złe, że aż tak pozwalała sobie jeździć po głowie. Raz czy dwa razy namawiałam ją, by stanęła okoniem. Patrzyła wtedy na mnie tak, jakby nie rozumiała, o czym mówię. A potem świergotała o tym, jaka jest szczęśliwa. Czasem nawet myślę, że może naprawdę było jej z tym dobrze. Może właśnie takiego męża potrzebowała? Czy to jednak możliwe, abyśmy różniły się do tego stopnia? Pelagia była przecież moją cioteczną siostrą.

Pani Anastazja westchnęła i smętnie zamieszała łyżeczką w filiżance. Wyglądało na to, że wyczerpała temat. Przyjaciółki nie zamierzały jednak tego tak zostawić.

– Rodzone siostry mogą różnić się charakterem, a cóż dopiero kuzynki – podjęła radczyni. – Weźmy takie panny Więckowskie. Przecież Marianna i świętej pamięci Maryla były z jednej matki i jednego ojca, a nie znam kobiet tak różnych pod każdym względem.

– Marianna wdała się w babkę, ma charakter starej pani Więckowskiej – odparła z aprobatą w głosie Borecka. – Władysław zawsze bał się matki. Miała silną osobowość i umiała postawić na swoim. Mąż siedział u niej pod pantoflem przez całe ich wspólne życie. Kiedy umarła, nie wiedział, jak ma dalej żyć, i niedługo potem też się zabrał z tego łóż padołu. Myślę, że na tamtym świecie czekała już na niego w progach wieczności. Bez niej nie trafiłby przed oblicze Najwyższego. A Władysław, pamiętając matkę, robił wszystko, by unikać podobnych kobiet. W przypadku żony całkowicie mu się to udało. Sprawiedliwość dopadła go dopiero w postaci najstarszej córki. Marianna, jako jedyna w domu, stawiała z nim do boju jak rycerz na udeptanej ziemi. Jej nie zdołał ujarzmić.

Umilkła, a towarzyszące jej kobiety siedziały jak rażone. Nie spodziewały się aż tylu informacji. Anastazja musiała być bardzo

wzburzona. Ryzykowała przecież, że jej mało dyskretne przyjaciółki mogą rozprowadzić wieści po całej Warszawie. A może właśnie na to liczyła? Może w ten sposób chciała zaszkodzić człowiekowi, który – w jej przekonaniu – latami krzywdził jej cioteczną siostrę i siostrzenicę? Panie rade byłyby usłyszeć jeszcze więcej, nie śmiały jednak zadawać pytań.

– Biedna Ewa – westchnęła w końcu pani Anastazja. – Ona nigdy nie liczyła się w tym domu. Jej pojawienie się na świecie nie sprawiło radości ani ojcu, ani matce. Nie chcieli jej, oboje liczyli na syna. Zawsze miałam wrażenie, że Władysław chciał pozbyć się jej z domu.

## ROZDZIAŁ 2



Marianna nie zamierzała czekać, aż ojciec znajdzie dla niej czas. Pomimo że pracownicy kancelarii uprzedzili ją, że mecenas jest zajęty, przegląda ważne dokumenty, a lada moment spodziewa się nie mniej ważnych klientów, bezpardonowo zażądała wpuszczenia jej do gabinetu. Wyglądała przy tym na osobę tak zdesperowaną, że nikt nie śmiał stanąć jej na drodze.

– Co się dzieje?! – krzyknął na widok córki mecenas, po czym przeniósł zagniewany wzrok na biednego woźnego Hipolita. – Mówiłem przecież, aby mi nie przeszkadzać. Czy nikt nie potrafi zrozumieć moich poleceń?!

Hipolit, jękając się, próbował nieporadnie wytłumaczyć sytuację, ale Marianna bez zbędnych ceregieli wypchnęła go za drzwi.

– Już dawno dałem do zrozumienia, że w kancelarii nie prowadzę prywatnych rozmów – sarknął z najwyższą niechęcią mecenas.

– Nigdzie ich nie prowadzisz. W domu też nie sposób cię zastać, a nawet jeśli jakimś cudem dopisze mi szczęście, to i tak nie mamy możliwości porozmawiać. Unikasz tego jak ognia, szanowny ojczy.

W końcu poczułam się zmuszona odwiedzić cię tutaj.

– Odwiedzić? – oburzył się. – Nikt cię tu nie zapraszał.

– Nie chcesz wiedzieć, z czym przychodzę?

– Jak widzisz, wręcz umieram z ciekawości.

Był bezradny. Marianna nie tylko uodporniła się przez lata na jego gniew i ironię, ale w dodatku potrafiła odpowiedzieć pięknym za nadobne. Ponadto domyślał się przyczyny jej wizyty. Wzruszył ramionami. Skoro już przyszła, trzeba jej wysłuchać i stoczyć kolejną słowną szermierkę. Tak naprawdę córka w niczym nie mogła mu zaszkodzić ani wpłynąć na jego decyzje. Jak przyszła, tak w końcu pójdzie. Byle jak najszybciej, naprawdę czekały go pilne zajęcia. Zły był teraz sam na siebie, że unikał spotkania jej w domu. Nie zwracałaby mu głowy w biurze.

– Bez obaw, mój ojcze, nie zamierzam zabawić tu dłużej, niż muszę – rzekła wyniośle. – Mam tylko pytanie. Czy to prawda, o czym mówią na mieście od kilku dni? Zamierzasz wydać Ewę za Celiowskiego?

– To nie powinno cię obchodzić – warknął, ale już po chwili uznał, że był to błąd. Od początku przybrał niewłaściwy ton w tej rozmowie. Istniało wszak bardzo duże prawdopodobieństwo, że jego pracownicy podsłuchują pod drzwiami. Ludzie są jak szakale albo psy łowne. Wszędzie węszą. A Władysław Więckowski bardzo dbał o swój image człowieka kulturalnego i opanowanego w każdej, nawet najbardziej kryzysowej, sytuacji. Zresztą odpowiedź Marianny była łatwa do przewidzenia.

– Obchodzi mnie tak samo jak i ciebie – odparła. – Ewa jest moja siostrą, przypominam ci.

Nie ściszyła głosu. W przeciwieństwie do ojca mało dbała o pozory. Po raz kolejny pożałował, że unikał jej przez ostatnie dni. Tę rozmowę należało jednak przeprowadzić w domu.

– Nie udawaj teraz siostrzanej miłości – powiedział lodowato, ale znacznie ciszej. – Mała nigdy cię nie obchodziła.

– Z pewnością bardziej niż ciebie. Nie o tym jednak chcę mówić. Czy zdajesz sobie sprawę, że nasza rodzina jest ponownie na językach całej Warszawy?



– Ponownie? A kiedy to ostatnio cieszyliśmy się publicznym zainteresowaniem?

– Za sprawą mojego szwagra od czasu do czasu towarzystwo przypomina sobie o nas. I nie wmawiaj mi, że to nie moja rzecz. Plotki na temat naszej rodziny dotyczą także mnie i mojego domu. To, co planujesz, jest ohydne. Wszyscy tak mówią, a ty przecież dbasz o swoją opinię. Dziwię się też, że nie pomyślałeś, jak może się to odbić na twoich interesach.

Wreszcie spojrzał jej prosto w oczy. Wiedział, że nigdy się go nie bała. Gdyby jego nieżyjąca już żona lub pozostałe córki tak się do niego odezwały, dostałyby po twarzy. To by wystarczyło. W przypadku Marianny ta metoda nigdy nie zadziałała tak, jak sobie tego życzył. Musiał się w końcu z tym pogodzić. Ze słownych utarczek zawsze wychodziła zwycięsko. Teraz jednak wiedział, jak ją dotknąć, aby poczuła ból. Nie, nie zamierzał podnosić na nią ręki. Znał inny sposób i nawet przestał dbać o to, czy ktoś go podsłuchuje, czy nie.

– Wściekasz się, moja córko, że tak pospieszyłaś się z własnym ślubem, zamiast poczekać, aż twój szwagier będzie wolny. Już przed laty nie mogłaś mu darować, że zdecydował się jednak na Marylę. Nie pozostawało ci nic innego, jak złapać tego safandulę Wilczyńskiego i wydać się za niego. Pocziesz się jednak, nie jesteś przecież wrótką. Skąd mogłaś wiedzieć, że twoja siostra zabierze się z tego świata wcześniej, niż ktokolwiek by przypuszczał?

Twarz Marianny spurpurowiała. Patrzył na to z satysfakcją. Nie potrafiła na czas znaleźć odpowiedzi, wobec tego postanowił kontynuować.

– Zresztą i tak nic by to nie dało. Nigdy nie miałaś u Celiowskiego większych szans. Zawsze widział, że twoja siostra była ładniejsza. Zapewne też i głupsza, ale dla niego nie stanowiło

to problemu. Wręcz przeciwnie. Zawsze też widział, jaką byłąś jędzą. Ja nie miałem wyboru, musiałem cię znosić. Ale on?

Zacisnęła dłonie na torebce i odwróciła się na pięcie. Nie byłaby jednak sobą, gdyby ostatnie słowo nie należało do niej.

– Nigdy nie zależało ci na żadnej z nas, a Ewy wręcz nie mogłeś znieść. Podobnie i matka. Póki mogła, starała się urodzić ci syna. Ewa była przykrą niespodzianką. To, że sprowadzisz na nią nieszczęście, to jedno. Być może jednak sprowadzisz je też na resztę rodziny.

## ROZDZIAŁ 3



Kiedy wyszła z kancelarii ojca i minęła milczące grono jego pracowników, odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że działała na niego jak przysłowiowa czerwona płachta na byka. Wciąż jeszcze zdarzało się jej odczuwać z tego powodu złośliwą satysfakcję, częściej jednak znużenie. Ustawiczna wojna, brak możliwości przeprowadzenia z nim choćby jednej spokojnej rozmowy, od dawna już ją irytowały i męczyły. Owszem, gdy była kilkunastoletnim podlotkiem, nieraz odczuwała dumę, że jako jedna jedyna, wyłączając nieżyjącą babkę, nie pozwalała, aby ojciec stosował wobec niej swoją tyrańską władzę. Tak jest, wiele razy go wówczas prowokowała. I nie przejmowała się wymierzanymi jej karami, tym bardziej że nawet on w pewnym momencie uznał je za nieskuteczne i praktycznie je zarzucił.

To jednak, co ją bawiło, czy wręcz uskrzydlało, w tamtych czasach, po latach wywoływało tylko żal, ewentualnie bezradną złość. Żałowała, że nie zabrała dobrych wspomnień z rodzinnego domu. Nawet jeśli w wielu domach decydujący głos należał do mężczyzn, stosunki panujące u Więckowskich nie mogły być uznane za normalne. Czy ktokolwiek się tego domyślał? Czy ktokolwiek by w to uwierzył? A nawet jeśli – czy to by coś zmieniło? Prawdopodobnie niewiele, najpewniej zaś nic. Ciotka Borecka domyślała się wszystkiego, i co z tego? Marianna podsłuchiwała

kiedyś, jak próbowała przemówić Pelagii Więckowskiej do rozumu. Innymi słowy – namawiała ją do postawienia się mężowi. Matka nie była jednak do tego zdolna. Prawdopodobnie też nie odczuwała żadnej potrzeby oporu, walki o należną jej pozycję we własnym domu.

„Przecież nie mogła czuć się szczęśliwa, nie wierzę w to” – myślała po raz nie wiadomo już który Marianna. I jak zawsze refleksji tej towarzyszyły irytacja i niepewność. Bo mogło też być tak, że matce takie życie odpowiadało. Miała taką osobowość, słabą, uległą. Nie przeszkadzało jej to, jak haniebnie była traktowana przez człowieka, który powinien być jej najbliższym przyjacielem. Niewolnik także potrafił odczuwać szczęście, jeśli odpowiednio mocno przywiązał się do swego pana, jeśli go kochał.

„Tak właśnie mogło być z matką” – dumiała gniewnie po wyjściu z kancelarii ojca. Szła ulicą, od czasu do czasu odpowiadała na ukłony mijanych znajomych, wciąż uparcie, na nowo, rozpałmiętając to, czego w żaden sposób nie mogła już zmienić.

Jakże ubolewała na przykład nad tym, że z matką także nie dało się tak naprawdę porozmawiać. Pelagia uciekała od trudnych tematów. Nie udzielała odpowiedzi. Nie słuchała. Nie doradzała.

„Zapytaj ojca” – mawiała.

Albo:

„Ojciec wie lepiej, Marianno. Dlaczego wciąż go irytujesz?”

Albo:

„To nie są sprawy dla kobiet. Mężczyźni są od nas mądrzejsi, lepiej wykształceni, lepiej przygotowani do życia. Zostaw to ojcu. Wiesz, jak ciężko pracuje, a tylko go drażnisz”.

„Obudź się, mammo!” – chciała wtedy krzyknąć Marianna, ale nigdy sobie na to nie pozwoliła. Nie miało to sensu. I bez tego matka zaczęła w pewnym momencie jej unikać, tak jakby się bała słów, które mogłaby usłyszeć od swojej najstarszej córki.

Marianna wobec tego przestała jej współczuć i pogodziła się, że nigdy się z nią nie porozumie. Trudno przecież bez końca walczyć z wiatrakami. Matka nie wyobrażała sobie innego życia. Zatem będzie nadal potakiwać we wszystkim mężowi, będzie pragnęła urodzić mu wymarzonego syna, będzie się o to starała tak długo, jak długo jej organizm na to pozwoli. Będzie schodzić mężowi z oczu, gdy kolejne ciążę zakończą się niepowodzeniem lub urodzeniem następnej córki. A potem, gdy złość mu przejdzie, będzie znów przybiegać na każde jego skinienie.

Uświadomienie sobie, że matka pozostanie na własną prośbę w tym zakłętym kręgu i nigdy nie stanie się kimś bliskim dla swoich córek, oczywiście bolało, ale Marianna nauczyła się oswajać ten ból. Znacznie trudniej było jej przyjąć do wiadomości, że siostry godziły się powielać model zachowania Pelagii Więckowskiej. Dotyczyło to zwłaszcza Maryli. Ewa była dużo młodsza i Marianna podświadomie – wciąż, mimo upływu lat – traktowała ją jak małą dziewczynkę. Jak dziecko, które bawiło się lalkami, gdy obie starsze siostry Więckowskie były już pannami na wydaniu. Dziecko całkowicie świadome faktu, że jest niepotrzebne, niekochane przez rodziców, z konieczności tylko tolerowane w domu.

Ewa przyszła na świat zamiast wyczekiwanego syna, jakby na złość ojcu i ku zgryzocie matki. Marianna miała wówczas trzynaście lat, a Maryla jedenaście. W międzyczasie matka kilka razy poroniła, a kiedy wreszcie udało jej się donosić kolejną ciążę, ojciec był całkowicie pewny, że tym razem głośny krzyk noworodka oznacza pojawienie się upragnionego syna. Jakież było jego zdumienie, gdy oznajmiono mu narodziny kolejnej córki! Przy czym zdumienie było jedynie najłagodniejszą, bo początkową, reakcją. Potem przyszła kolej na wściekłość. Nie chciał widzieć dziecka. Nie chciał rozmawiać z żoną. Był śmiertelnie obrażony

na nią, na córeczkę, na Pana Boga. Był przekonany, że los w okrutny sposób z niego zadrwił.

– Chyba wreszcie dotarło do niego, że są takie dziedziny życia, gdzie nie jest wszechmogący – skomentował to cichaczem wuj Borecki, co wzbudziło ponoć dowcipne komentarze wyrażane przez niektórych panów. W domu Więckowskich nikomu jednak nie było do śmiechu.

Marianna miała oczywiście świadomość, że także ona sama niewiele interesowała się najmłodszą siostrzyczką. Nie potrafiła się z nią porozumieć, utrudniała to bardzo różnica wieku. Pewnie zabrakło także czasu, ale zwłaszcza dobrej woli.

Lecz Maryla?

„Mogłyśmy być przyjaciółkami. Byłaś zaledwie dwa lata ode mnie młodsza. Więc... dlaczego, moja siostrzo, dlaczego?” – myślała, czując bezsilną, głuchą rozpacz. Zawsze tak się czuła, wspominając siostrę. „Dlaczego byłaś taka potulna, uległa, tak podobna do naszej matki? Dlaczego reagowałaś na moje napomnienia tak jak ona?”

– Nie kłóć się z ojcem, Marianno. Przecież on najlepiej wie, co dla nas dobre. Jest doświadczonym człowiekiem – tak właśnie wyraziła się kiedyś Maryla.

– A ty nie czujesz potrzeby posiadania własnego zdania choćby w niektórych tylko kwestiach? – spytała wówczas wzburzona Marianna. – Nie tęsknisz za tym, by nauczyć się życia dzięki własnym, zdobytym samodzielnie doświadczeniom?

Maryla patrzyła na nią zdumiona, wręcz wstrząśnięta.

– Skąd takie myśli? – wyjąkała. – Nie rozumiem... – I wyglądało na to, że rzeczywiście nie rozumiała. – Naczytałaś się różnych sufrażystek – dodała ze zgrozą. – To ci nie da szczęścia. Świat jest inaczej pomyślany. Pewne zasady istnieją od zawsze i trwać będą wiecznie.

– A konkretnie, które z tych zasad masz na myśli? – spytała prowokacyjnie Marianna, doskonale wiedząc, że wpędzi tym siostrę w zakłopotanie.

Maryla bowiem nie podejmowała podobnych rozważań. Takie kwestie nie zastanawiały jej ani nie niepokoiły. Za mało też czytała i nie dysponowała odpowiednią wiedzą, aby brać udział w jakiegokolwiek poważnej dyspacie, o analizowaniu ważnych problemów nawet nie wspominając. Postrzegano ją jako słodką, delikatną, miłutką dziewczynę, podobną do wielu innych panien wychowanych tak jak ona. Niczym też nie wyróżniałaby się w ich gronie, gdyby nie jej zjawiskowa wręcz uroda, przyciągająca powszechną uwagę.

Była wysoka, smukła, choć zdaniem niektórych zbyt szczupła. Jednak zachwyceni mężczyźni zdawali się przechodzić do porządku dziennego nad jej może zbyt kanciastą, trochę chłopcęją – jak mawiali złośliwi – płaską figurą i wpatrywali się jak urzeczeni w łagodne, a niekiedy iskrzące niefrasobliwą radością, czarne oczy, okolone ciemną oprawą gęstych, długich rzęs. Jeśli do tego dodać jasną karnację, delikatny owal twarzy, wysokie czoło i zaczesane do tyłu długie, ciemne włosy – otrzymywało się obraz skończonej piękności obdarzonej w dodatku miłą, nieskomplikowaną osobowością i spokojnym wdziękiem.

Jednak to, co czarowało mężczyzn i wzbudzało zrozumiałą zawiść innych dziewcząt i kobiet, nie wpływało pozytywnie na siostrzane uczucia Marianny. W pewnym momencie musiała zaakceptować smutną prawdę, że ona i Maryla nigdy nie będą przyjaciółkami. Przy czym nie chodziło tu o zazdrość. Współczuła by raczej siostrze, gdyby ta zdawała sobie sprawę, jak bardzo godna pożałowania niekiedy była. Mężczyźni nazywali ją aniołem i choć Maryla wzbudzała w nich instynkty rycerskie, a także opiekuńcze, to przede wszystkim adorowali ją w zupełnie innych celach.

Maryla zdawała się tego w ogóle nie dostrzegać, co Mariannę, zdecydowanie bardziej świadomą wielu spraw, irytowało w najwyższym stopniu. Obie były przecież jednakowo wychowywane w myśl surowych, prawdziwie purytańskich zasad. Obu od dzieciństwa wpajano posłuszeństwo i ślepe podporządkowanie woli ojca. Dlaczego więc ona, Marianna, potrafiła się skutecznie przeciwko temu buntować i widziała świat takim, jakim był, a jej siostra była całkowicie bezwolna, bezrefleksyjna? Całkowicie pogodzona z faktem, że o jej przyszłości, w tym o wyborze męża, zadecyduje ojciec? Fakt ten bez zastrzeżeń akceptowała, lecz nie ze strachu przed ojcem, ale z przekonania, że tak być powinno. Ojciec jest od niej mądrzejszy, więc będzie wiedział lepiej, co dla niej dobre. Rozmawiała tylko z tymi młodymi ludźmi i wielbicielami, których akceptował mecenas. I tylko tacy mogli bywać w mieszkaniu jej rodziców. Ojciec również zdecydował, że Maryla została żoną Andrzeja Celiowskiego. A ona, jak na zawołanie, zapalała do tego człowieka wielką miłością. Jak na posłuszną córkę przystało!

– Czy ty wiesz, co robisz? – spytała wtedy Marianna, choć już jakiś czas temu obiecała sobie, że nie będzie próbować wpływać na siostrę, że z tego zrezygnuje, podobnie jak poddała się wcześniej w przypadku matki. Tym razem jednak, gdy Maryla, skacząc z radości, zaprezentowała jej zaręczynowy pierścionek, nie wytrzymała. – Co ty w ogóle wiesz o tym człowieku? – dodała zirytowana.

– Przestań, Marianno – odparła wtedy Maryla wyjątkowo ostrym i zdecydowanym jak na nią głosem. – Nie traktuj mnie tak, jakbym nadal była dzieckiem. Wiem, co robię. Kocham go i on też mnie kocha. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. – A potem, jakby skruszona i zawstydzona swoimi słowami, jakby pragnąc złagodzić ich brzmienie, dodała miękko: – Przecież to wspomniały



mężczyzna. Silny, mądry, niebanalny. Nie jest nudny. Może się podobać każdej kobiecie. Nie widzisz tego?

Oczywiście, że Marianna to widziała. Oczywiście, że na niewątpliwy urok dziedzica Jodłowa i ona nie była obojętna. Miała zresztą nieodparte wrażenie, że on również zwracał na nią uwagę. Jednak zdecydował się poślubić Marylę. Ojciec trafnie zdiagnozował przyczynę tego wyboru. Marianna także to wiedziała, choć za skarby świata nie powiedziała by tego na głos. To, że młodsza siostra była od niej ładniejsza, to jedno. Lecz należy też dodać: kwestia gustu. To, że jednocześnie była – jak to przed chwilą bez pardonu określił ojciec – głupsza... No cóż, z punktu widzenia większości mężczyzn mogła się wydawać osobą łatwą w pożyciu, a w każdym razie łatwiejszą niż śmiało wyrażająca swoje zdanie Marianna. Andrzej Celiowski z pewnością także to dostrzegł. W powszechnym przekonaniu, aczkolwiek niewyrażanym głośno przy damach, Celiowski nie szukał partnerki do inspirujących rozmów, dyskusji i wymiany poglądów. Szukał miłego towarzystwa... do łóżka. Żadnych dąsów, żadnych wymagań, pełne oddanie. Nie był zresztą wyjątkiem wśród przedstawicieli swojej płci. Marianna nie musiała podsłuchiwać rozmów panów, aby to wiedzieć. Wystarczyło uważnie obserwować ludzi. Biorąc jednak to wszystko pod uwagę, nie obawiała się związku z Andrzejem. Wierzyła, że poradziłaby sobie z nim. Przecież z ludźmi radziła sobie nie najgorzej. Poza tym przeszła niełatwy trening w postępowaniu z własnym ojcem. Tak więc poradziłaby sobie z pewnością z takim mężem jak Celiowski, on jednak nie miał ochoty na bardziej wymagający związek. A poza tym...

– Naprawdę się kochamy, siostrzo, jesteśmy tacy szczęśliwi – szczebiotała zaraz po ślubie Maryla. – Niepotrzebnie tak się o mnie martwiłaś. Jest nam ze sobą bardzo dobrze.

I Marianna nie mogła wówczas w to wątpić. Przynajmniej wtedy, gdy słyszała te słowa. A potem?

Cóż, potem przestała się tym zajmować. Docierały do niej bowiem plotki na jej własny temat. Taka na przykład ciotka Kunegunda, stryjeczna siostra mecenasa, utyskiwała od czasu do czasu, że to bardzo źle wygląda, gdy młodsza siostra wychodzi za mąż wcześniej niż starsza. Oczywiście nie ośmieliła się wypowiedzieć tej opinii w obecności Marianny. Ta jednak, chcąc nie chcąc, i tak się o wszystkim dowiedziała od córki radcy Czarnowskiego, która zawsze dysponowała wiarygodnymi informacjami.

– Stara Kunegunda stwierdziła, że za jej czasów, czyli innymi słowy, gdy była jeszcze młoda, starsza siostra w takiej sytuacji jak twoja wstępowała do klasztoru albo decydowała się na dożywotnie staropanieństwo – relacjonowała ze śmiechem Krysia Czarnowska.

– A to niby dlaczego? – spytała kąśliwie Marianna, choć nie przejęła się opinią ciotki Kunegundy. O tej krewnej miała bowiem znacznie gorsze zdanie niż o własnych rodzicach. Spytała ot tak... aby spróbować odegnać od siebie nie najweselsze myśli i zająć czymkolwiek uwagę. Choćby po to, by się pośmiać.

– Też ją o to spytałam – parsknęła Krysia. – Nawet moja macocha była zdumiona słowami Kunegundy. Moja macocha sądziła bowiem, że muszą istnieć jakieś granice ludzkiej głupoty. Teraz przynajmniej wie, że takich granic nie ma, przynajmniej w przypadku starej Kunegundy.

– No i co odpowiedziała moja ciotka? – spytała niecierpliwie Marianna, mimowolnie zaintrygowana.

– To podobno była kwestia honoru. W ten sposób starsza siostra, której nie udało się odpowiednio wcześniej złapać męża, dawała do zrozumienia, że sprawy od początku były tak ułożone. Wszystkim dookoła wmawiano, że takie były projekty rodzinne.

Najwłaściwszym rozwiązaniem pozostawał klasztor. Gdy to usłyszałam, natychmiast odpowiedziałam, że najwidoczniej ty nie masz zamiaru zawracać sobie głowy ani mężowskimi humorami, ani rodzeniem co rok dzieci i wycieraniem im nosów, gdy trochę podrosną. „Klasztor, z tego, co wiem, także nie wchodzi w rachubę”. Tak właśnie powiedziałam. Gdybyś widziała miny zgromadzonych tam matron! Jedna przez drugą jęczały na temat upadku obyczajów i nieodpowiedzialności dzisiejszych młodych panien. Lubię je podenerwować. Ja w każdym razie nie zamierzam żyć pod niczyje dyktando.

Marianna również tego nie zamierzała, ale nie planowała też samotnego życia. Zresztą jako panna mogła co najwyżej pomarzyć o samodzielności. Samotne panny nie mieszkały przecież same i nie mogły prowadzić niezależnego życia. Przynajmniej jeśli chodziło o te z tak zwanych dobrych rodzin, z towarzystwa. Zresztą co miałyby wtedy robić? A przede wszystkim... z czego żyć? Nie miała ku temu odpowiedniego wykształcenia ani przygotowania. Pragnęła za to ostatecznie wybić sobie z głowy Celiowskiego, zając się własnymi sprawami, odejść z tak zwanego rodzinnego domu. Nie patrzeć codziennie na ojca.

Jedynym sensownym wyjściem było małżeństwo, ale takie na własnych warunkach, wbrew skrzekliwym krakaniom i utyskiwaniom starych bab. Rozejrzała się więc i zdecydowała na doktora Rafała Wilczyńskiego, a następnie energicznie zabrała się do dzieła. Ojciec nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, chociaż na wszelki wypadek stworzyła mu taką iluzję. Więckowski doskonale jednak wiedział, że były to jedynie pozory, które pozwalały mu zachować twarz wobec innych. Zresztą, tak czy owak, nie miał nic do zarzucenia drugiemu zięciowi. Stanowisko pewne, pozycja towarzyska także, dochody z praktyki – więcej niż przyzwoite. Jeśli lubił o doktorze Wilczyńskim od czasu do czasu wyrazić

się pobłażliwie czy nawet lekceważąco, to tylko wtedy, gdy chciał dokuczyć córce. Sam nigdy nie miał żadnej, nawet najmniejszej, scysji z zięciem, choć z drugiej strony obaj nie szukali okazji, by się często widywać.

Różnili się od siebie tak bardzo, że zamykało to drogę do wzajemnej sympatii i większego porozumienia. I obaj doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Ze względu na formalne więzi rodzinne potrafili jedynie zdobyć się na tolerowanie jeden drugiego. Rafał był spokojnym, ugodowym człowiekiem. Nie przyszłoby mu do głowy traktować swoją żonę tak, jak robił to jego teść. Marianna nigdy nie żałowała, że za niego wyszła. Nie przeszkadzało mu, że jej władza w domu była niemal absolutna. Wręcz przeciwnie – był żonie bezwarunkowo oddany i wdzięczny, że zdjęła mu z barków ciężar podejmowania decyzji dotyczących codzienności, a kiedy obdarzyła go córką, był w siódmym niebie i niczego więcej już nie oczekiwał od życia. Nie żałowała więc dawnych marzeń, a wspominając od czasu do czasu swoje panięńskie zadurzenie w Celiowskim, jedynie z pogardą wzruszała wtedy ramionami. Przestała też zawracać sobie głowę Marylą i tym, czy siostra nadal jest tak „niebiańsko” szczęśliwa jak w pierwszych tygodniach małżeńskiego życia.

„Nie moja sprawa, siostrze. Masz to, czego chciałaś” – jedynie tak od czasu do czasu myślała.

Aż przyszło nieszczęście. Maryla przedwcześnie urodziła kolejne dziecko i zaraz potem zmarła. Dziecko nie miało szans na przeżycie, choć ani Marianna, ani nikt inny nie zdołał się dowiedzieć, czy małeństwo było już martwe, zanim zostało wydane na świat, czy umarło zaraz po tym. Szczerze powiedziawszy, nikt też tego nie drążył. W obliczu tragedii moment zgonu dziecka nie miał znaczenia. Przecież wszystko to stało się tak nagle, tak niespodziewanie.

„Dlaczego, moja siostrze, dlaczego?” – myślała wtedy bezradnie Marianna. Nawet po latach, gdy wracała do tamtych dni po śmierci Maryli, czuła ciężki do zniesienia ból. Ból, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Przecież tak niewiele łączyło ją z siostrą, gdy ta jeszcze żyła. Ani razu nie porozmawiały ze sobą o sprawach naprawdę ważnych. W ostatnich latach rzadko się też widywały. Maryla odcięła się od wszystkich i niemal zabarykadowała w Jodłowie. Marianna, będąc wtedy przekonana, że siostra nie tęskni ani za nią, ani za nikim innym, nie próbowała sforsować tej barykady. Teraz już nie była pewna, czy postąpiła wówczas słusznie. Dlaczego po odejściu Maryli poczuła nieznośną pustkę, która nie mijała? Pustkę bez porównania bardziej dojmującą i dotkliwą niż po śmierci matki. A przecież dotąd jej się wydawało, że obie irytowały ją w jednakowym stopniu. Dlaczego musiało dojść do tragedii, by zrozumiała, że było całkiem inaczej? Może Maryla jednak czekała na nią, na swoją silną, starszą siostrę? Może potrzebowała jej pomocy, rady czy choćby potrzymania za rękę. Nie prosiła zaś o to, bo zabrakło jej odwagi.

Może? Jeśli? Czy? Odwieczne pytania, jakie sobie stawiają w takich okolicznościach ludzie na całym świecie. I nie otrzymują na nie odpowiedzi. Z tamtej strony na ogół nikt już nie odpowiada.

„Będę z tym żyć. Nie ma innej rady” – tłumaczyła sobie Marianna. Zawsze umiała twardo stąpać po ziemi, stawać do walki lub ustępować z pola bitwy, gdy widziała, że nie ma innego wyjścia. To było podstawą jej siły, jej niezachwianej równowagi. Nie pomyślała jednak, że po latach przyjdzie jej toczyć kolejną bitwę z ojcem. Jak grom z jasnego nieba spadła na nią wiadomość, że Andrzej Celiowski nie wycofał się z życia Więckowskich po śmierci Maryli. Sięgał teraz po Ewę i robił to przy całkowitej aprobacie jej ojca. O ile to nie mecenas był autorem tego pomysłu. Pomysłu z piekła rodem!